

## Atlas z poziomu Zero

Urodziłem się ze skazą. Urodziłem się niedoskonały. Odkąd pamiętam zawsze byłem zamknięty w stal i skórę. Oddychałem przez przewody. Patrzyłem na świat przez oszklone otwory wizjera w masce. Moje ciało gniło i regenerowało się. Kości łamały się tylko po to, by się zrosnąć i złamać ponownie. Krwawiłem z setek ran. Zamknęli mnie w kombinezon ze stali i skóry. Nie wiedziałem nawet jak wyglądałem. Nie wiedziałem jak pachnie świeże powietrze. Gdy zasypiałem towarzyszyły mi szумы cewek, rozruszników i filtrów kombinezonu.

Dwadzieścia lat temu moją ciężarną matkę, znaleźli mieszkańcy schronu Knoxville na progu ich schronu. Zabrali ją do ambulatorium, a ona urodziła syna. Urodziła mnie. Urodziła potwora. Urodziła i zmarła. Ja ją zabiłem.

Przez lata trzymali mnie w izolacji, próbując leczyć moje defekty genetyczne wywołane przez promieniowanie, ale w końcu zrezygnowali. Sporządzili dla mnie kombinezon: ze stali i skóry.

Mieszkańcy schronu unikali mnie, albo patrzyli w inną stronę przechodząc obok. Bywali też tacy, którzy w jakiś sposób obwiniali mnie za wojnę i często wyładowywali na mnie swoje frustracje. Jeszcze inni umilali sobie czas rzucając we mnie, czym popadnie. Gdy już podrosłem, rada schronu uznała w końcu, że najlepiej będzie znaleźć mi jakieś zajęcie z dala od reszty społeczności.

Wyładowałem na poziomie Zero. Na najniższym poziomie. Na poziomie pod poziomami. Były tam tylko stacje uzdatniania wody, wysypiska śmieci, segregatory i spalarnie odpadów, miliony rur i przewodów. Na poziomie Pierwszym znajdowały się magazyny surowców, na Drugim - huty i fabryki. Na poziomie Zero było tylko to, co dla schronu umarło i miało zostać przetworzone po to, żeby schron mógł żyć nadal.

Opiekował się mną stary Hank. Pamiętam go dobrze; silne ramiona, siwe jak popiół włosy, długa broda spleciona w warkocz, przenikliwy wzrok i brudny od smaru kombinezon.

Dla Hanka nie byłem potworem. Dla Hanka byłem chłopcem. Nauczył mnie czytać i pisać. Pokazał mi jak obsługiwać maszyny i jak je konserwować oraz naprawiać. Ludzie nazywali mnie potworem, blaszakiem lub po prostu chłopcem. Nikt się nie pofatygował, żeby mi nadać imię, więc zrobił to Hank. Hank nazywał mnie Atlasem. Twierdził, że gdy on odejdzie to ja będę dbał o to, by świat mieszkańców schronu nie zwał im się na głowę. Miał rację.

Gdy Hank umarł, pojawiło się trzech mężczyzn w białych uniformach. Tylko jeden z nich spojrział na mnie i powiedział: „Chłopcze, teraz ty tu rządysz. Trzymaj wszystko w całości i nie zawal sprawy”. Zabrali ciało w brezentowym worku na zwłoki. Najwidoczniej nie ufali mi dostatecznie; dzień później przysłali mi trzy nowiutkie roboty konserwacyjne. Nazwałem je: Ene, Dułe i Rabe. Ene, Dułe i Rabe miały tylko niezbędne funkcje do wykonywania pracy. Nie mówiły. Zresztą i tak szybko się zepsuły. Znowu byłem sam.

Skupiłem się na pracy, lecz nikt nigdy nie podziękował Atlasowi za to, że świat wciąż trwał. Ciągłe rośnięcie i stawałem się silniejszy – musiałem dopasować kombinezon do ciała mężczyzny, jakim się stałem. Mój organizm stał się odporniejszy. Ciało pokryło się setkami blizn, ale było to lepsze od pełnych ropy, gnijących i broczących krwią ran. Moje kończyny stały się nieco zdeformowane, lecz twarde i nie łamały się tak łatwo. Mięśnie jak ze stali, zdolne były zgiąć pręt. Nie wiedziałem, dlaczego z groteskowego kaleki stałem się prawdziwym tytanem, ale nie musiałem długo czekać na odpowiedź.

Tego dnia po przebudzeniu nie zastałem żywności w dystrybutorze. Często o mnie zapominali. Zapominali tak często, że mnie to nie zdziwiło. Przeważnie pracowałem w

ciemnościach. W ciemnościach zawsze paliła się jakaś lampa pomocnicza, albo żarówka kontrolna, na którymś z paneli. Tym razem ciemność była wszechogarniająca; nie usłyszałem też żadnego dźwięku. Na dole nigdy nie było cicho. Zawsze w rurach krążyła woda, maszyny niszczyły, przetwarzały, albo transportowały śmieci, w okablowaniu szumiał prąd. Pobiegnę do interkomu. Interkom nie działał. Zawsze coś się działo, a teraz w mroku i ciszy ruch ustał - wszystko wydawało się martwe. Samotność zmroziła mnie, aż do szpiku. Wpadłem w panikę. Pobiegnę w stronę wind. Windy też nie działały, więc rzuciłem się w stronę drabinki technicznej. Drabinka techniczna była, rzadko używana i równie rzadko konserwowana. Jeden ze szczebli przez mój paniczny pośpiech złamał się i spadłem. Po uderzeniu o betonową podłogę przez chwilę nie mogłem się ruszyć. Bałem się, że złamałem kręgosłup. Gdy zdałem sobie sprawę, że mogę ruszać palcami, zwinąłem się w kłębek i zacząłem płakać. Płakałem tak głośno, aż płacz przezwyciężył cisze i już nie bałem się ciszy.

Chwiejnym krokiem wróciłem do mojego do magazynku z narzędziami, w którym sypiałem. Mój wzrok przyzwyczał się już do całkowitej ciemności i przez chwilę myślałem, że skąpe oświetlenie poziomu zero, wróciło do normy. Chwilową radość ponownie zastąpił smutek. Smutek zastąpiła determinacja, którą siłą wpajał mi Hank.

Wziąłem butelkę wody, paczkę herbatników, ciężki młot do skruszenia przeszkód i porządny żelazny łańcuch z hakiem, by pokonać szyby windowe.

Kilka uderzeń wystarczyłoby uzyskać szparę dostatecznie dużą, żeby wepchnąć w nią trzonek młota i użyć go jako dźwigni. Potem przy pomocy łańcucha z hakiem i wszechobecnych rur dostałem się na poziom Pierwszy. Winda blokowała dalszą drogę w górę, więc zacząłem szukać innego szybu.

Na tym poziomie było światło. Światło czerwonych lamp rezerwowego zasilania. W słabym, czerwonym świetle zauważyłem mężczyznę na wózku widłowym. Próbowałem go zawołać. Od dawna nie miałem, z kim porozmawiać, nawet Ene, Dule i Rabe zaczęły reagować na pomruki. Próbowałem go zawołać, lecz z moich ust wydobył się tylko charkot.

Podbiegnę do niego. Nie wykonał żadnego ruchu. Zatrzymałem się i zacząłem go obserwować. Był obrócony do mnie plecami. Jego lewa ręka zwisała bezwładnie wzdłuż ciała. Głowę miał opuszczoną na klatkę piersiową, a twarz zakrywały przydługie włosy. Trzonkiem młota uniosłem jego głowę. Nigdy nie zapomnę tej twarzy. Nigdy nie myślałem, że ujrzę coś gorszego od własnej twarzy - prawie przezroczysta skóra razem z mięśniami spływała z czaszki, oczy nie naturalnie miał wytrzeszczone. Spojrzałem na identyfikator - Henderson. Henderson zawsze mi ubliżał, gdy zgłaszałem zapotrzebowanie na jakieś materiały. Umilał sobie czas, kpiąc z mojego wyglądu. Zacząłem się śmiać. „I kto teraz wygląda jakby ktoś wdepnął w gówno, a potem kopnął cię w ryj?” - krzyknąłem do niego. Nigdy nie zapomnę tej twarzy, pamięć o niej poprawia mi humor.

Zanim dotarłem do wind znalazłem jeszcze pięć innych ciał - to już nie było śmieszne. Nie znałem ich. Śmierć nie powinna być śmieszna. Śmierć nie powinna przypominać rozgotowanej owsianki. Śmierć tych ludzi nie powinna mi sprawiać przyjemności, ale tak cholernie dobrze wiedzieć, że Bóg jest sprawiedliwy!!! Że pamiętał każdy cios! Że pamiętał każdy śmiech! Że pamiętał każdą obelgę i wyzwisko! Że nie zapomniał o mnie...

W każdym razie już się nie bałem. Już nikt nie krzyczał, nikt się nie śmiał. Wszyscy byli tacy sami. Pierwszy raz poczułem się jak w domu. Pośród tej całej śmierci i ciszy pierwszy raz nie czułem się samotny.

Już się nie spieszyłem. Dostałem się na poziom Drugi gęsto usłany trupami. To była bardzo kształcząca wędrówka. Zdziwilibyście się, w jakich komicznych pozach ludzie umierają, na przykład jednemu gościowi prasa hydrauliczna przygniotła rękę. Musiał zasłabnąć i się jej chwycić... CAP! Prasa zmiażdżyła mu rękę i zastygła. Pewnie w tedy siadło zasilanie. Musiał cierpieć. Gdybyście zobaczyli to truchło: ręka wyrwana ze stawu

łokciowego, połączona z reszta ciała pajęczyną zgalaretowaciałych tkanek. To wyglądało jak rozciągnięta guma do żucia, ale o brudno-brązowym kolorze zaawansowanego rozkładu...

Na poziom Trzeci dostałem się drabiną techniczną. Na poziomie Trzecim znajdowały się magazyny gotowych produktów i części. Zatrzymałem się na lunch: pochłonałem karton ciasteczek „Atomic” i zapiłem „RadJuice” w towarzystwie faceta, którego twarz zapadła się do wnętrza czaszki. To, co zostało z jego mózgu spokojnie ściekało sobie z podbródka. Użyłem go jako kosza na śmieci.

Postanowiłem ominąć poziom dystrybucyjny, ze sklepami pełnymi towarów na kartki i różnej maści warsztatów. Wspiąłem się bezpośrednim szybem windowym na poziom elektrowni. Na moje nieszczęście winda zatrzymała się na poziomie Trzecim. Wystarczyło ją otworzyć i zdjąć klapę w suficie kabiny. Po godzinie mozolnej wspinaczki siła eksplozji na poziomie elektrowni, cisnęła mnie na koniec szybu windy. Uderzyłem o stojącą na dole windę i straciłem przytomność. Odłamki betonu i różnorodnej instalacji zasypały moje pogruchotane ciało.

Pewnie myślicie coś w stylu: „Dobrze ci tak ty draniu, potworze, szkarado.” Myślcie, co chcecie, ale jak widać przeżyłem i mam gdzieś, że z każdą chwilą moje opowieści coraz bardziej mnie nienawidzicie. Ja nauczyłem się was nienawidzić. Nauczyłem się, że jesteście słabi i nie przetrwacie w tym świecie popiołów. Nauczyłem się, że nie zasługujecie na przetrwanie...

Znalazłem w sobie wystarczająco dużo siły, żeby wygrzebać się z pod gruzu i zsunąć się do windy, a potem wyczołgać się na korytarz. Raniłem jeszcze dotkliwiej swoje ciało. Czulem jak kości łamią się na jeszcze mniejsze kawałki. Czulem jak ścięgnięta się zrywały, a mięśnie pękały. Ze sto razy budziłem się tylko po to, żeby sto razy stracić z bólu przytomność. Gorączka nie pozwalała mi logicznie myśleć.

Mogło to trwać godziny, dni, tygodnie. Gdy obudziłem się po raz ostatni było zupełnie ciemno. Możliwe, że eksplozja uszkodziła generatory awaryjne, ale to było już bez znaczenia. Ważne, że ciało się zregenerowało na tyle bym mógł szukać żywności.

Po zaspokojeniu głodu, skierowałem się do szybów ewakuacyjnych. Postanowiłem ominąć elektrownię oraz dwa poziomy kwatery położonych nad nią i wyjść na poziomie Ósmym. Droga wiodąca przez szyb była łatwiejsza ze względu na znajdujące się w nim klatki schodowe. Wystarczyło tylko przebić się przez zabezpieczone drzwi. Zdziwiło mnie, że były zamknięte. Zabezpieczono je zamkiem magnetycznym, który w razie braku zasilania miał się automatycznie otworzyć. Na szczęście miałem ze sobą swój młot. Po rozbiciu sześciu pieczęci, drzwi wsunęły się w podłogę.

Pokonałem setki schodów. Setki schodów spowitych grubą warstwą kurzu, ciszy i ciemności. Za to, gdy dotarłem na właściwy poziom, oniemiałem. Słuchajcie uważnie, bo wami też to wstrząśnie! Stoję na ostatnim stopniu, spoglądam w kierunku drzwi i uwaga! Drzwi były otwarte, a na klatkę schodową wpadało jaskrawe światło! Za mało? Poza otwartymi drzwiami i światłem, w oczy rzucało się około kilkunastu martwych obywateli schronu. Dodam jeszcze, że ciała były podziurawione kulami. Chciałbym zobaczyć teraz wasze miny. Hłe hłe hłe! Dokładnie tak: ktoś ich zabił i to nie byłem ja. Sami sobie tworzyście potwory, więc oceńcie, czyja to wina, że jestem jednym z nich?

Dokładnie obejrzałem ścierwa, ci ludzie umarli od kul, a nie od promieniowania. Szybko zniknął mi z ust uśmiech. Zrozumiałem, że teraz jestem na terenie uzbrojonego drapieżnika. Rozejrzałem się nerwowo i zacząłem nasłuchiwać. Nikogo nie zauważyłem. Niczego nie usłyszałem. Ostrożnie zacząłem się przemieszczać w stronę najbliższych wind. Pewnie zastanawiacie się skąd tak dobrze znam schron, skoro większość życia spędziłem na najniższym poziomie i praktycznie nigdy go nie opuszczałem? Hank. Hank mnie uczył. Pokazał mi plany schronu. To Hank zaprojektował ten schron.

Oślepiło mnie światło – oczy za bardzo się przyzwyczyły do półmroku i późniejszego mroku całkowitego. Poziom rolniczy miał specjalne zasilanie awaryjne. Przez te wszystkie lata od zamknięcia schronu ludzie musieli korzystać z kanalizacji. Jak wiemy odchody wytwarzają metan. Metan był odprowadzany do ogromnych zbiorników. Gdy elektrownia przestała dostarczać prąd, włączyły się generatory pomocnicze, które z kolei uruchamiały elektrownie gazową, napędzaną metanem. Ta główniana elektrownia leżała nad zbiornikiem. Jej zadaniem było dopilnować, żeby farmerzy mieli nadal prąd i mogli produkować żywność. Było tam cholernie gorąco, a wszechobecne rozkładające się krowy i truchła mieszkańców swym zapachem dodatkowo mnie rozpraszały. Rozłościłem się i przestałem być czujny.

Nagle usłyszałem wystrzały i zanim się odwróciłem dosięgły mnie kule. Czuję jak skóra i mięśnie lewej ręki ustępują pod kulą. Druga roztrzaskała mi łopatkę. Zachwiałem się i zanim rozbrzmiała druga seria, skoczyłem w bok, za traktor. Traktor zebrał drugą serię. Wyjrzałem na chwilę i ujrzałem postać ubraną w biały kombinezon z trójlistnym czarnym kwiatem w żółtym okręgu. Był poplamiony świeżą krwią. Na biodrach miał pas z ekwipunkiem funkcjonariusza ochrony, a w rękach trzymał karabin maszynowy. Padła kolejna seria, a po niej do moich uszu dotarło kliknięcie – koniec amunicji. Wykorzystałem okazję i pognałem w jego stronę. Próbował załadować nowy magazynek, gdy się na niego rzuciłem. Wylądowaliśmy na ogrodzeniu z drutu kolczastego. Zaczęliśmy się szamotać. Mimo, że był sporych rozmiarów, nie dorównywał mi wzrostem, ani siłą. Pod gradem ciosów zmiękł i leżał oszołomiony na trawie. Uśmiechnąłem się paskudnie i zdarłem mu maskę ochronną. Spojrzałem mu w twarz i go rozpoznałem.

Freeler! Pamiętam go jako dziesięciolatek. Jego twarz nie wiele się zmieniła od tamtego czasu. O tak, doskonale go pamiętam. Ten sukinsyn wymyślił sobie zabawę, która kosztowała mnie wiele zdrowia i łez. Z rozpędu walił mną o ścianę. Potem zakładał się z kolegami ile mi połamał kości. Udając troskę pytał o to pielęgniarkę, a ona mu mówiła, bo oczywiście bałem się go wydać. Jego ojciec był taki sam i też pracował w ochronie. Skurwiel na ogół wygrywał zakłady, a jeżeli nie, to czekały mnie powtórki, aż się odkuł. Jak wielkim draniem by nie był, był lepiej wyszkolonym draniem ode mnie. Wisząc nad nim, pogrążony w bolesnych wspomnieniach nie zauważyłem, jak sięgnął po nóż. Katem oka dostrzegłem ruch, a potem poczułem ból w prawym oczodole. Szybko wstał i zaczął uciekać. Gdy to dostrzegłem; ból, strach i dezorientację zalała fala długo hamowanego gniewu i nienawiści. Wyrwałem z ziemi słupek ogrodzenia i biegnąc owinałem go drutem kolczastym. Usłyszałem jak za nim biegłem i gdy się odwrócił, stalowy słupek najeżony kolcami trafił go w twarz.

Tłukłem go po głowie, drąc się jak opętany. Zdyszany, przestałem okładać Freelera. Freeler i tak był martwy. Z oczu została tylko galaretowata maź. Przez rozszarpany policzek wysunął się język. Zdarła z czoła skóra śmiesznie zawinęła się na włosy. Z pękniętej czaszki wypływał mózg.

Pierwszy raz zabiłem człowieka. Pierwszy raz brałem udział w śmierci, a nie przyglądałem jej się z boku. Patrzyłem na niego i myślałem, że zawiodłem Hanka. Nienawidził zabijania. Nie godził się z wojną. Dlatego zamiast projektować broń, projektował schrony. Przykro mi Hank. Chciałeś uczynić mnie człowiekiem. Moim przeznaczeniem jest być potworem.

Zdarłem z siebie i tak już nie potrzebny, podarty kombinezon. Odpiąłem wygasłe czujniki. Odrzuciłem maskę z rozbitym wizjerem. Pierwszy raz w życiu czułem, że żyje. Że mogę żyć bez tych rurek, filtrów i całego chłamu. Spojrzałem jeszcze raz na Freelera. Hank nie był by dumny z tego. Ja byłem z tego dumny! Stałem nad nim nagi jak mnie Bóg stworzył! Stałem nad nim nagi jak mnie Bóg przeklął! Już nie byłem słabym, wychudzonym i schorowanym dzieckiem. Byłem silnym, wytrzymałym i groźnym mężczyzną. Dorosłym potworem. I nagle przypomniałem sobie chwile z dzieciństwa. To było najgorsze upokorzenie w moim życiu. Pewnego raz, po tym jak mnie pobił, oddał na mnie mocz przy sporej ilości

gapiów. Obiecałem sobie, że kiedyś odpłacę mu się za to tym samym. Oddając mocz na to, co zostało z jego twarzy, zdałem sobie sprawę, że pierwszy raz sikam bez cewnika.

Ze zwłok Freelera odpiąłem elektroniczny klucz i poszedłem dalej. Winda na poziom administracyjny działała, co było miłą odmianą. Jadąc na górę i słuchając kiczowatej melodyjki, wydlubałem sobie kule z ran.

Na poziomie Dziewiątym nie znalazłem żadnych trupów, ani żywych. Tam przynajmniej klimatyzacja była sprawna. Po przeszukaniu biur, urzędów i archiwów, udałem się na ostatni poziom schronu. Przy windzie wsunąłem klucz do czytnika i wpisałem kod uniwersalny. Znalazłem go kiedyś w papierach Hanka. Laboratoria, główne ambulatorium, kwatery Rady Schronu, Centrum Obserwacji Powierzchni i Nasłuchu Radiowego oraz oczywiście winda do służby – to właśnie poziom Dziesiąty. Dzień, czy noc? To nieważne. Jak już wyjdę stąd to mile powitam zarówno gwiazdy jak i słońce. Nigdy nie widziałem nieba.

Postanowiłem, że zanim opuszczę schron, to znajdę Vonemberga, albo jego truchło. Choć guzik mnie obchodził los obywateli, to piekielnie mnie ciekawiło, co się tu dokładnie wydarzyło. Nie widziałem jego zwłok na poziomie Ósmym. Podejrzywałem, że żyje, albo zdechł za swoim hebanowym biurkiem. Czy wspomniałem o tym, że ten stary drań zaraz po śmierci doktora Hoyrela i objęciu jego stanowiska, kazał mnie zesałać na poziom Zero? Powinienem mu podziękować. Najpierw dzięki samotności, potem przez szaleństwo zrozumiałem, kim jestem i zaakceptowałem to. Pokochałem siebie. Zresztą miałem dziwne przeczucie, że stary generał coś spartolił i teraz widać tego efekty.

Dotarłem na poziom Dziesiąty i ruszyłem w stronę biura przewodniczącego rady schronu Knoxville. Dokładnie wiedziałem gdzie się ono znajdowało. Często odwiedzałem Hoyrela...

Drzwi biura były otwarte do połowy. Zajrzałem do środka i ujrzałem tego drania Vonemberga popijającego whisky. Siedział w wielkim skórzanym fotelu, odwrócony plecami do drzwi.

- To Ty Loyd? Załatwiłeś ich? – odezwał się do mnie nagle – Nigdy nie byłeś zbyt rozmowny i właśnie to w Tobie lubię najbardziej. Wejdz i nalej sobie szklaneczkę, ekwipunek już załadowałem do jeepa. – Kontynuował nie fatygując się spojrzeniem w moją stronę. Zawsze uważał, że nigdy się nie myli, to był jego błąd. Wszedłem i zauważyłem leżący na blacie rewolwer. Podniosłem go.

- Niezły, nie? Mam go jeszcze z czasów służby. – pociągnął solidny łyk osuszając szklanę. Pociągnął nosem – Człowieku, jak Ty śmierdzisz! – dopiero wtedy pofatygował się, żeby na mnie spojrzeć. Nagle zrobił się biały, jak jego koszula. Musiałem ciekawie wyglądać. Na klatce piersiowej miałem resztki zaschniętej twarzy Freelera. Wokół prawego oka, zaschniętą krew i jakiś śluz, który wypłynął z oczodołu. Z resztą, nie ma, co wymieniać. Przez całe życie byłem chodzącym strupem, a po strupach zostają blizny.

- Yyy... Co tu robisz, chłopcze? – podjął przymilny ton, ale z czoła i tak spłynęła mu kropla potu. – Co Ci się stało?

- Zaskoczony, że żyję, Vonenberg? Nie zgrywaj się. – otworzyłem bębenek rewolweru i sprawdziłem ilość kul. Nerwowo przełknął ślinę patrząc na mnie.

- No dobra, liczyłem, że zginiesz razem z resztą tych mięczaków. – teraz jego twarz przyjęła pogardliwy i złośliwy wyraz. – Czego chcesz do cholery?

- Nie patrz tak nerwowo na drzwi, on nie przyjdzie. Zabiłem go. – jego mina sprawiła mi ogromną frajdę.

- Ty cholerny wybryku natury! Czego ode mnie chcesz? Wynoś się stąd! – jego oburzenie odpływało wraz z odciętym cynglem.

- Byłem ciekaw, co tu się stało. Liczyłem, że mnie oświecisz. – zrobiłem minę tak niewinną, na jaką było stać faceta bez oka.

- Niby, czemu miałbym ci cokolwiek powiedzieć? – rzucił pogardliwie.

- Jak widzisz, promieniowanie mi nie szkodzi, a nawet wzmacnia. Na dodatek nigdzie mi się nie śpieszy. Jeśli chcesz możemy poczekać, aż promieniowanie przebije się do tego poziomu. Chętnie zobaczę jak się roztopisz – ponownie zbladł, a jego czoło pokryło się potem.

- No dobrze, niech będzie. Mogę? – wskazał ręką na butelkę whisky. Wychrypiałem, że może. Moje struny głosowe nie były przyzwyczajone do tak długich rozmów. Nalał sobie szklankę i poczęstował się jeszcze cygarem z pudełka na biurku. Czuł się zbyt swobodnie, tak, że od razu połapałem się, że coś knuje.

- Więc Ci powiem. Jak tylko objąłem stanowisko przewodniczącego rady, wziąłem się za rozwiązanie pewnego rażącego zaniedbania. Mianowicie, w schronie nie było na wyposażeniu broni! Nawet dla funkcjonariuszy ochrony! – oburzony upił łyk ze szklanki – kazałem przewodniczącemu inżynierów i techników dopilnować, by jedna z fabryk została przystosowana do produkcji karabinów. Oczywiście w celu wyposażenia funkcjonariuszy - na wypadek, gdyby kilku z tych faszystów przeżyło i postanowiło sprawiać kłopoty. Nikt się nie awanturował. Od lat nie udało się nawiązać żadnego kontaktu radiowego. Do czasu aż któryś z operatorów złapał meldunek po niemiecku. Rada wpadła w panikę. Wykorzystałem to i zaproponowałem pomysł, który od jakiegoś czasu chodził mi po głowie – zaciągnął się cygarem kilka razy i kontynuował – mam na myśli przebudowę jednego z sześciu generatorów plazmowych w celu produkcji materiałów radioaktywnych do głowic pocisków balistycznych. Równoległe do procesu produkcji głowic kazałem wybudować silos i wyszkolić personel. Ludzie mnie poparli. Bali się, więc chciałem dać im poczucie bezpieczeństwa. Chciałem ich ochronić – wydawał się zadowolony ze swoich słów.

-Chciałeś mieć najniebezpieczniejszą broń na własność. – odkaslnąłem. – Chciałeś czuć się potężny i ważny. Przez chwilę przewiercał mnie wzrokiem paląc cygaro.

- Co Ty możesz wiedzieć? – Zarówno w nim jak i we mnie wzbierała niechęć do dalszej rozmowy.

- Kontynuuj. Promieniowaniu nie zajmie długo dotarcie tutaj. – Rozejrzał się, jakby mógł je zobaczyć.

- Więc, odłączyliśmy i przebudowaliśmy jeden z generatorów. Zdążyliśmy wyprodukować dwie głowice i braliśmy się za trzecią – przez chwilę milczał, jakby coś rozważał. – Co prawda jeden z inżynierów dostarczał mi raporty o ewentualnych negatywnych skutkach, ale zawsze panikował, więc go zignorowałem. Kto mógł przypuszczać, że ten jeden raz paranoik będzie miał rację? – spojrzał mi w oko i nie znalazł w nim rozgrzeszenia, więc kontynuował zrezygnowanym tonem. – Pozostałe pięć generatorów nie dawało sobie rady z zapotrzebowaniem na energię – zgasił cygaro. – W końcu doszło do przegrzania. Kiedy jeden padł, inne poszły za nim. Chłodzenie awaryjne zawiodło i doszło do rozszczelnienia. To była chwila. Było już za późno, kiedy się zorientowaliśmy, że elektrownia i fabryki zaczęły wypełniać się trupami. To tyle. Kazałem Freelerowi zabić wszystkich, którzy przeżyli. Ja zniszczyłem wszelką dokumentację na swój temat. Przygotowałem sprzęt. Planowałem go zabić i uciec w pewne miejsce. Teraz pozwolisz mi odejść? – uśmiechnąłem się, podszedłem bliżej i przyłożyłem mu lufę do głowy.

Musze przyznać, że mnie zaskoczył. Chlusnął mi zawartością szklanki w twarz. Pusty oczodół zapłonął żywym ogniem, a i zdrowe oko ucierpiało. Vonemberg uciekł na korytarz. Pobiegłem za nim i zacząłem strzelać. Nie trafiłem żadną z sześciu kul. Wbiegł do jakiegoś pomieszczenia, a ja jak ostatni głupiec wbiegłem tam za nim. Uderzył mnie gaśnicą w splot słoneczny, chcąc złapać równowagę oparłem się o coś, co okazało się być stołem bilardowym. Przez załzawione oczy zobaczyłem jak Vonemberg na drugim końcu pomieszczenia, otwiera inne drzwi. W złości odruchowo rzuciłem w jego kierunku jedną z bil. Usłyszałem zduszony jęk i uderzenie osuwającego się ciała o ścianę. Potem była już tylko cisza.

Przetarłem szczypiące oko. Potem złamałem kij bilardowy o kant stołu i ruszyłem w kierunku drzwi. Kijem otworzyłem je szerzej i po wcześniejszej lekcji zajrzałem ostrożnie do środka: na ścianie łuk rozbryzganej krwi i mózgu, ciało Vonemberga podrygujące, co jakiś czas w pośmiertnych skurczach. Spośród fragmentów rozłupanej czaszki i strzępów tkanki mózgowej, łypała na mnie ze sporej dziury z tyłu jego głowy kula bilardowa – numer Osiem.

Tak, to ta sama bila. Patrzyłem na nią, gdy jeszcze tkwiła w głowie Vonemberga, skojarzyła mi się z okiem. Uznałem to za dość zabawne i wetknąłem ją sobie w oczodół.

Hmm... Więc to tyle. Pojechałem na górę obejrzeć ekwipunek, o którym wspomniał Przewodniczący Rady Schronu Knoxville. W garażach znalazłem zatankowany do pełna transporter gaśnicowy. Vonemberg zaopatrzył go w solidny zapas wody, pożywienia, leków, broń oraz nic nieznaczące błyskotki. Patrzyłem na ten toporny pojazd, a w mojej głowie pojawiła się myśl - mogę pojechać, dokąd tylko zechcę. Nic mnie tu nie trzyma. Zawsze chciałem zobaczyć Nashville, rodzinne miasto Hanka. Chętnie opuszczę ten grobowiec, choć coś mi mówi, że jeszcze tu wrócę...

\*\*\*

**...Coś mi mówi, że jeszcze tu wrócę... Klik! Koniec nagrania nr 09711/112/17-04-1972**

Nagranie się skończyło, po plecach porucznika Berton`a przebiegł zimny dreszcz. To nienaturalne spojrzenie przekrwionego oka w połączeniu z bilą numer Osiem napawało go obawą. Do tego ten złowrogi uśmiech, gdy człowiek pokryty bliznami wymawiał ostatnie zdanie...

- Miles, czy w banku pamięci są jeszcze jakieś inne nagrania? – chudy dziewiętnastolatek w stopniu kaprała pokiwał przecząco głową.

- Niestety, Sir. Wszystkie nagrania zapisane przed tym zostały skasowane. To samo, jeśli chodzi o późniejsze nagrania przez ponad dwanaście lat. Sir, to wygląda jakby ktoś na bieżąco kasował nagrania z kamer.

Berton westchnął. Z każdą chwilą denerwował się coraz bardziej. To miała być standardowa misja rozpoznania jednego ze schronów, z którymi dowództwo straciło kontakt. Standardowe Veni, Vidi, Vici. Już na samym początku wszystko się psuło. Około stu kilometrów przed celem, liczniki Geigera zaczęły trzeszczeć i z każdym kolejnym kilometrem wskazywały coraz większe promieniowanie. Biuro Kartografii Powojennej twierdziło, że na tą strefę spadły głównie pociski konwencjonalne, promieniowanie było, więc stanowczo za duże.

Dotarli do punktu, w którym liczniki zaczęły wskazywać niebezpieczeństwo dla zdrowia. Berton z majorem Crockettem musieli zostawić połowę ludzi i sprzętu, ze względu na brak wystarczającej ilości kombinezonów ochronnych. Tłukli się ciężkimi transporterami pustynnymi typu „Skarabeusz” przez rozgrzane piaski pustyni Tennessee. Promieniowanie uniemożliwiało kontakt radiowy z pozostawionym oddziałem, jak również wykluczało próby nawiązania łączności ze schronem. Zwiad doniósł, że zachodnie wrota są otwarte. Już wtedy wiedział, że coś jest nie tak. Crockett kazał załadować ciężką amunicję i zaczęli schodzić. Po drodze do Centrum Kontroli Środowiska Wewnętrzznego i Ochrony Schronu mijali ciała, a właściwie kałuże roztopionych tkanek. Berton został z technikami w Centrum, natomiast major z pozostałymi żołnierzami ruszyli na dolne poziomy schronu.

Miles ciągle się drapał. Jemu też nie odpowiadały kombinezony z lesticku. Lepkie i duszne, po dłuższym czasie stawały się katorgą dla człowieka. Inna sprawa, że nic tak dobrze nie chroniło przed promieniowaniem, jak lestickowe kombinezony ARS-4.

- Panie poruczniku? Jakoś długo nie wracają... – Berton spojrzał w stronę kaprała. Mimo, iż maska szczelnie zasłaniała twarz miał pewność, że chłopak jest zaniepokojony.

- Co jest, Miles? To nie Twoja pierwsza akcja i dobrze wiesz, że zanim stary Crockett zrobi swoje, zapuścimy tu korzenie – odparł pełen poirytowania.

Nie lubił Miles`a, zawsze pierwszy panikował, a czasem zarażał tym innych. Jego zdaniem ten wychudzony, pryszczaty i chorowity smarkacz powinien zostać technikiem w ochronie. Niestety, Miles chciał się ożenić, a jego dziewczyna nie powie „tak” dopóki on nie zdobędzie pozwolenia na dzieci. No i podpisał kontrakt z armią – najszybszy sposób, by uzyskać pozwolenie na potomstwo.

- Sir? Ale mi chodzi o Nilsen`a, Berg`a i innych...- przerwał, gdy porucznik zamarł w pół ruchu nad klawiaturą.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że żaden z siedemnastu techników jeszcze nie wrócił. Rozesłał ich dwie godziny temu, aby zebrali wszystkie przydatne dane, jakie znajdą w laboratoriach. Na ogół wystarczała im godzina.

- Zostań tu, a ja pójdę pogonić tych obiboków – wziął ze stołu latarkę i ruszył na korytarz, przeklinając Miles`a i jego udzielającą się paranoję.

Błąkając się po zakurzonych korytarzach, wypatrywał świeżych śladów w kurzu. Wykrzykując nazwiska żołnierzy wszedł do wydziału badań biologiczno – chemicznych. Pobieźnie oświetlił pomieszczenie latarką i gdy chciał wyjść, dostrzegł katem oka ruch. Skierował w tamtą stronę światło i jednocześnie szybkim ruchem wy dobył pistolet z kabury przy pasie.

- Dobra, który robi sobie jaja?! – nikt nie odpowiedział. Przeładował broń najgłośniejszym potrafił.

- Tylko nie miej do mnie pretensji, żartownisiu, jak odstrzelę ci tyłek!

Po chwili wahania ruszył ostrożnie w stronę, gdzie dostrzegł ruch. Nagle coś potoczyło się w stronę Bertona i zatrzymało o jego buty. Zdezorientowany spojrzał pod nogi i po chwili zrozumiał, na co patrzy.

- Colins... - wyszeptał zduszonym głosem spoglądając na odciętą głowę.

Spojrzał przed siebie i ostatnią rzeczą, którą zarejestrował jego mózg była czarna bila numer Osiem...

## EPILOG

Z dniem 9 stycznia 1985 roku Komitet Odrodzenia Stanów Zjednoczonych uznał pięćdziesięciu trzech żołnierzy 1. Oddziału Ekspedycyjnego (kryptonim „Pochodnia”), w tym również majora Arnolda Crockett`a i porucznika Dawida Berton`a za martwych.

Z rozkazów głównodowodzącego Sił Zbrojnych Koalicji Międzyschronowej, Generała Johna T. Glover`a zostały uzupełnione szeregi 1. Oddziału Ekspedycyjnego, oraz przeprowadzono zabieg reanimacyjny jednego z zasłużonych bohaterów II Wojny Światowej, w celu poprowadzenia oddział w przyszłych misjach...

cichyiszary